



Ludomir Konstanty „Antek” na głównym punkcie pomiarowym w rejonie Mosulu podczas pomiaru dalmierzem laserowym Geodimetr Aga 8. Z lewej znak rozpoznawczy wymurowany przy stabilizacji górskiej tego punktu, z prawej teodolit Wild T2

Jak Polacy zakładali osnowę w Kurdystanie

Nasi geodeci i ratownicy górscy pracowali w Kurdystanie w ekstremalnych warunkach.

Rozmawiamy z uczestnikami tamtej irackiej wyprawy (1977-1979): **LUDOMIREM KONSTANTY**

„**ANTKIEM**”, kierownikiem polskiego zespołu, oraz **ANDRZEJEM BIERNACIKIEM**, który spisał jej kronikę

ANNA WARDZIAK: Jak znaleźliście się panowie na kontrakcie w Iraku?

LUDOMIR KONSTANTY: Obaj studiowaliśmy na jednym roku na Wydziale Geodezji Górniczej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie na specjalności geodezja inżyniersko-przemysłowa, a dyplomy odebraliśmy w 1967 r. Później pracowaliśmy w Polsce w terenie, mieliśmy już więc pewne doświadczenie. Nasz wyjazd do Iraku związany był z kontraktem na założenie osnowy geodezyjnej

podpisanym w czerwcu 1974 r. przez Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych Republiki Iraku z Centralą Handlu Zagranicznego „PolSERVICE” w Warszawie. Pracę w Iraku rozpocząłem w 1975 r. od pomiarów na pustyni. Później powierzono mi skompletowanie ekipy do pomiarów w górach. Znaleźli się w niej sami mężczyźni: 13 zakopiańczyków, 10 sądeczan, kierowca z Warszawy i 3 inżynierów geodetów z Krakowa. Jedynie koledzy z Krakowa i Warszawy nie mieli

praktycznie żadnego doświadczenia górskiego. Pozostali byli członkami GOPR Grupy Tatrzańskiej i Grupy Krynickiej, instruktorami narciarskimi i taternikami, byli więc dobrze obeznani z górami. Część ekipy stanowili inżynierowie geodeci, a część była bez wykształcenia geodezyjnego i ci pracowali na stanowiskach pomiarowych. Ale przy wnoszeniu na szczyty sprzętu nie było rozróżnienia, czy to inżynier, czy pomiarowy, każdy dźwigał na plecach taki sam ciężar. Do-

datkowo niegeodeci musieli się szybko uczyć wykonywać różne czynności, a pod koniec kontraktu niektórzy mierzyli już teodolitem kąty pionowe. Prace w górach rozpoczęliśmy w maju 1977 r.

Jakie było wasze zadanie i jakim sprzętem pomiarowym dysponowaliście?

LK: Zakładaliśmy punkty osnowy geodezyjnej, na którą składała się sieć triangulacyjna i niwelacyjna. Osnowa stanowiła sieć trójkątów, w których mierzyliśmy metodą trilateracji wszystkie boki, a na każdym punkcie dodatkowo kąt między dwoma najlepiej widocznymi kierunkami. Początkowo mieliśmy do dyspozycji jeden, a później dwa szwedzkie instrumenty Geodimetr Aga 8 do pomiarów odległości oraz 10 teodolitów Wild T2 i Wild T3 produkcji szwajcarskiej do pomiarów kątów, a także pomocniczy sprzęt geodezyjny. Geodimetr Aga 8 był wówczas najnowocześniejszym dalmierzem laserowym na świecie. W optymalnych warunkach teoretycznie mógł zmierzyć odległość nawet do 70 km z dokładnością pojedynczych centymetrów, wysyłając do pryzmatycznego lustra ustawionego na drugim punkcie laserową wiązkę światła widzialnego (czerwonego), która po odbiciu wracała do geodimetru. Ale sam instrument ważył 25 kg i był zasilany z dwóch akumulatorów, po 12 kg każ-

dy. I to wszystko trzeba było wnosić na szczyty na plecach. Nie można było instrumentu zapakować na osła czy muła, bo gdyby otarł się o skały, byłoby po sprzęcie. Na szczęście instrumenty wytrzymały wszystkie trudy noszenia przez nas na plecach. Oczywiście były odpowiednio traktowane, pieczołowicie zabezpieczane, owijane jak niemowlęta (*śniech*),

Jak wyglądał pomiar takim instrumentem?

LK: To było duże wyzwanie. Obecnie pomiar kątów czy odległości odbywa się za pomocą urządzeń elektronicznych nawet samonaprowadzających się na cel, nie mówiąc już o pomiarach satelitarnych. Nie ujmując niczego młodemu geodetom, teraz wystarczy wiedzieć, do czego służy kilka przycisków, i pomiar zrobiony. Natomiast wówczas prawidłowo wykonany pomiar odległości trwał minimum 30 minut. Wszystko trzeba było zrobić według instrukcji i żeby uzyskać odpowiednią zgodność, należało wykonać 5 do 7 serii pomiarów z ogromnym wyczuciem. To nie była zabawa, tylko ciężka praca.

ANDRZEJ BIERNACIK: Te czynności miały swoją nazwę. To było tzw. cliwienie instrumentu. Trzeba było tak delikatnie i z wyczuciem obracać jego pokrętłami, aby uzyskać najmocniejszy sygnał powrotny lasera.

LK: Należało też uwzględnić redukcję ze względu na wysokość n.p.m. Dodatkowo mierzyło się temperaturę powietrza i ciśnienie atmosferyczne z dokładnością do 0,1 mm Hg oraz 0,1° C. Odpowiednie poprawki miały duży wpływ na wyniki pomiarów. Termometr był specyficzny, obracał się, był wyposażony w wiatraczek i oczywiście musiał być ustawiany w cieniu. Wiatraczek powodował, że pomiar temperatury odbywał się w czasie przepływu powietrza. A mierzyło się ją kilkakrotnie: przed pomiarem geodezyjnym, na początku, w środku i na końcu. W czasie półgodzinnego pomiaru odległości jeden z kolegów był zaangażowany tylko w to zadanie. Na drugim punkcie boku ustawiane było lustro pryzmatyczne albo tarcza z lustrami w kombinacji: 1, 3, 9 lub 12.

AB: Natomiast na końcu najdłuższego odcinka, jaki udało nam się pomierzyć w górach, a było to aż 43,5 kilometra, na statywie umieściliśmy 75 luster – wszystkie, jakie mieliśmy w bazie.

Skoro pomiary były wykonywane między odległymi szczytami, to musicie się dzielić na zespoły, które się tam wspinały.

AB: Oczywiście. Na punkcie głównym był przeważnie kolega Konstanty z zespołem i oni właśnie mieli Geodimetr Aga.



Stanowisko w dolinie z tzw. patelnią składającą się z 12 luster. W tym miejscu wykonano stabilizację pełną – zakopano dwie płyty betonowe z podcentrem ceramicznym pod znakiem głównym o wysokości 75 cm. Widać też wkopany betonowy słup rozpoznawczy ważący 220 kg. Ze szkicownikami nieżyjący już Tosiek Cajun wśród kolorowych roślin, które w dolinach obficie kwitły w czasie kurdyjskiej wiosny

Lustra były ustawiane na kilku wierzchołkach w tym samym czasie. Czyli zespoły po 3-7 osób szły równolegle na przykład na cztery różne szczyty. Pod koniec kontraktu doszliśmy do takiej wprawy, że czasami tylko sam inżynier geodeta szedł na pomiar kątów. Wynajmował po drodze u Kurdów jakieś zwierzęta juczne i wchodził na wierzchołek np. 2,5 tys. m n.p.m. sam z lustrem, statywem, teodolitem Wild T2 i oczywiście przyrządami do pomiaru warunków atmosferycznych. Do tego wszystkiego mieliśmy jeszcze ważące po 6 kg radiostacje wojskowe produkcji angielskiej zamocowane w specjalnej uprzęży do transportu na plecach. Do pomiaru na punkcie głównym potrzebne były 2 dodatkowe baterie do radiostacji. Irakijczycy nie udostępnili nam lekkich krótkofalówek, tylko te ciężkie radiostacje na długie fale. Ponadto była wielka radiostacja bazowa Transceiver Kenwood. Jeśli nie można było uzyskać bezpośredniej łączności między wierzchołkami, wysyłaliśmy wiadomość do głównej bazy w Bagdadzie odległej o 700 czy 800 km, a tam łączono nas z punktem, który był od nas oddalony kilkanaście kilometrów.

LK: Warto zaznaczyć, że na każdy szczyt trzeba było wyjść kilkakrotnie. Najpierw zrobić rekonesans, żeby określić drogi i czas dojścia. Za drugim razem wykonać stabilizację punktu, która wymagała wyniesienia nie tylko głowicy, podcentrów, ale także piasku, cementu, wody i narzędzi do kucia. Po wywiadzie było wiadomo, jaki rodzaj stabilizacji będzie w danym miejscu odpowiedni, a więc i co trzeba z sobą zabrać. Zdarzało się, że jednorazowo to było nawet do pół tony sprzętu i materiałów. No i dopiero za trzecim podejściem pomiary. Przy trilateracji musiały być zmierzone wszystkie boki i co najmniej jeden kąt poziomy w każdym trójkącie. Oprócz tego mierzone były kąty pionowe do określenia różnicy wysokości. Żeby wyeliminować wpływ refrakcji, niwelację trygonometryczną robiliśmy z obu stron synchronicznie, zgrywając się niemalże co do sekundy.

Jak wyglądał taki punkt stabilizacji?

AB: Stabilizacja górską składała się z głowicy żeliwnej osadzonej w betonie, pod betonem była podsypka żwirowa, a pod nią jeszcze podcentr ceramiczny. Oczywiście, żeby to osadzić, trzeba było

na wierzchołku poszukać litej skały i wykuć w niej otwór. Oprócz tego były jeszcze punkty rozpoznawcze (tzw. *iron rods*) w postaci żelaznych prętów oraz punkt azymutalny (*azimuthal point*) umieszczony kilkaset metrów od punktu głównego. Punkt azymutalny jest potrzebny do tego, żeby mierzący w przyszłości geodeta mógł stanąć na danym wierzchołku i nawiązać pomiar do takiego właśnie punktu odległego np. o 150 m, a nie musiał ustawiać lustra na górze odległej o 30 km. Przy transporcie bagażu pomagały nam toyoty land cruisery. Zdarzało się, że opony nie wytrzymały nawet 3 miesięcy, bo wykorzystywaliśmy samochody do granic możliwości. Był wybór: „albo samochód, albo ja”. Ale oczywiście nie na każdą górę dało się wjechać, choć kilka procent wysokich szczytów w ten sposób „urwaliliśmy” z noszenia tych ciężarów. Natomiast na przedgórzu były niższe wierzchołki i tam regularnie dojeżdżaliśmy samochodami. Zdarzały się nawet takie stabilizacje, kiedy do transportu wykorzystywaliśmy przywiezione z Polski ciężarowego Stara 66. Stabilizowaliśmy też punkty La Place'a [krańcowy punkt bazy triangulacyjnej będący miej-



Przygotowania do wyprawy na szczyt – centralny punkt pomiaru boków. Staszek Łukaszczyk „Zbójnik” z ważącą 25 kg Agą 8 na plecach i Andrzej Biernacik, przy zakładaniu ciężkich plecaków pomaga Jerzy Hejmej

sce precyzyjnej orientacji całego układu sieci triangulacyjnej – red.]. W Kurdystanie założyliśmy 3 takie punkty i pewnie są tam do dzisiaj.

Ile punktów w sumie założyście?

AB: Łącznie 263 punkty. W górach stosowaliśmy stabilizację górską, a na przedgórzu stabilizację pełną. Mimo trudów podejścia w sumie chyba woleliśmy wykonywać stabilizację górską, ponieważ przy stabilizacji pełnej punkt główny, czyli słup betonowy z głowicą żeliwną, miał wysokość 75 cm do 1 m, a pod nim musiały się znaleźć dwie płyty ze znakami ceramicznymi. Ponad metr trzeba było więc wykopać w ziemi, a w zasadzie wykuć, bo tam wszędzie był zlepniec. Na przedgórzu było maksymalnie 10-30 cm gruntu, który się dało wykuć kilofem. Resztę roboty wykonywaliśmy szwedzkim młotem pneumatycznym Partner. O naszej pracy mówiliśmy wtedy: „Od Partnera do lasera” (*śmiech*). Młot był w miarę lekki, więc czasami mogliśmy go nawet wynieść w góry.

Jak duży teren był objęty pomiarami?

LK: Mniej więcej jak pół Polski, obszar blisko 500 na 300 kilometrów. Pamiętam, jak raz udało nam się pozyskać helikopter. Szczyt, do którego mieliśmy dotrzeć, widziałem z odległości może 30 km i jak zapakowaliśmy się do helikoptera, nagle zobaczyłem pod sobą morze szczytów – dziesiątki, jeśli nie setki. I jak tu określić, który to ten właściwy? Tylko „na nosa” udało się go odnaleźć.

Teren ogromny, więc pewnie korzystaliście z niejednej bazy wypadowej.

AB: Bazy mieliśmy w kilku miastach. Główna znajdowała się w Bagdadzie i tam mieściła się dyrekcja, można było załatwiać różne sprawy biurowe czy sprzętowe, zatrzymywały się w niej też zespoły z pustyni. Natomiast my na swoje bazy wynajmowaliśmy domy kolejno w: Irbil, Kirkuku, Sulejmaniji i Mosulu.

LK: Mieliśmy też najbardziej na północ wysuniętą bazę w Dahuku przy granicy tureckiej. Staraliśmy się, aby bazy były w takiej odległości, żeby nie trzeba było jeździć dalej jak 100-150 km, choć zdarzały się wyjątki.

AB: Wynajęte wille niejednokrotnie były świeżo oddane do użytku, zamieszkivaliśmy więc wśród odparowujących tynków. Ale i tak większość czasu spędzaliśmy w terenie, bo pracowało się często od 4 rano i nie zawsze na noc wracało do bazy. Zdarzało się, że nocowaliśmy w górach, choć było to ryzykowne.



W drodze na szczyt Andrzej Biernacki i Jan Stawowy poprawiają bagaż na objuczonym osiołku. Teodolit Wild T-3 owinięty w kurtki jest bezpieczny w plecaku Andrzeja. Towarzyszy im jedyny żołnierz z obstawy, który dotarł do tego miejsca, reszta „potraciła się” po drodze

Jak taki nocleg w górach wyglądał? Namiotu chyba nie dźwigaliście, poza tym żmije, skorpiony...

AB: Nie mieliśmy żadnych namiotów, spaliliśmy na ziemi. Na niektórych wierzchołkach znajdowały się strażnice wojskowe nazywane rubajami, zbudowane z kamienia i przykryte blachą falistą. Żołnierze spędzali w nich nawet 2-3 lata, bo chyba tyle trwała służba w wojsku. Pamiętam, jak kiedyś spałem u nich i zamiast kołdrą byłem przykryty blachą falistą (*śmiech*).

LK: Kiedyś w takim niezbyt wysokim paśmie (ok. 2000 m n.p.m.) żołnierze zaprosili nas na herbatę do jednej ze strażnic. A tu wokół same żmije. Pytamy więc: „Jak na takim żmijowisku funkcjonujecie?”. A oni na to: „My żyjemy z nimi w przyjaźni, niemalże w symbiozie, dajemy im jeść, zostawiamy im mleko, dlatego one nic złego nam nie robią”. I tak było.

LK: Ale ogólnie żmij i skorpionów w górach było niewiele i nam specjalnie nie dokuczały. Miałem tylko jedną sytuację, gdy skorpion wszedł do auta i niewiele brakowało, a zmiażdżyłbym go pedałem od sprzęgła. Wtedy mógł zaatakować, bo one atakują tylko w obronie własnej. Na szczęście odpowiednio wcześniej go zauważyłem. Zalaliśmy go arakiem i od 1978 roku trzyma się do dziś (*śmiech*).

AB: A propos trunków, pamiętam, jak odwiedzały nas władze, nieczęsto, bo zaledwie kilka razy w ciągu całego kontraktu. Rozrabialiśmy wtedy spirytus z wodą i pioktaniną [popularnie zwaną gencjaną – red.], która nadawała trunkowi niebieski kolor i wszyscy myśleli, że górale piją denaturat (*śmiech*).

To żarty się was trzymały.

LK: Nie traciliśmy humoru. Warto zaznaczyć, że w ciągu całego pobytu w Kurdystanie nie było między nami żadnych animozji, żadnego incydentu.

A przecież w ekipie byli sami mężczyźni. W drugim etapie pomiarów było nas nawet 27. I nikt sroce spod ogona nie wyskoczył, każdy sobą coś reprezentował, miał już pewne życiowe osiągnięcia. Ja jako kierownik zespołu i organizator ekipy znałem wcześniej prawie wszystkich osobiście, choć kilka osób było z rekomendacji. Przed wyjazdem zorganizowaliśmy dwa spotkania integracyjne. Jedno było w schronisku na Przehybie w Beskidzie Sądeckim, a drugie w Zakopanem u Andrzeja. Warto podkreślić, że w Kurdystanie nie tylko teren był trudny, trudna była też sytuacja polityczna, bo kraj był po wojnie, wokół spustoszenia, z jednej strony Kurdowie, z drugiej Arabowie, pełno wojska. To był ustawiczny stres. Gdy wychodziliśmy w góry, nigdy nie było wiadomo, czy wszystko będzie w porządku. Jak szliśmy z wojskową obstawą, to niemal za każdym razem była strzelanina. A jak szliśmy bez wojska, to wprawdzie nie było strzelaniny, za to można było nie wrócić. Ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

AB: Jak szliśmy bez wojska, to traciliśmy ubezpieczenie – gdyby komuś urwało nogę, to nawet nie dostałby odszkodowania. Większość szczytów „zrobiliśmy” więc na własne ryzyko, bo inaczej chyba do dziś tego kontraktu byśmy nie skończyli. Po prostu z wojskiem się szło bardzo długo. Dobrze jak przydzielali nam kilku wojskowych. Ale zdarzyło się też, że szło z nami 400 żołnierzy. Zanim doszliśmy razem do podnóża góry, nastał już wieczór. Wtedy odmawiali pójścia dalej i musieliśmy wracać. Często uciekaliśmy więc wojsku, które miało nas wspomagać i ochraniać. Zresztą jak startowało kilkudziesięciu żołnierzy, to na wierzchołek zazwyczaj dochodziło zaledwie kilku z nich albo żaden. Po prostu fizycznie nie dawali rady. Czasami prosiliśmy o żołnierzy bez karabinów, bo jeśli żołnierz miał

karabin, to nie mógł nic innego wziąć do ręki, bo musiał być przygotowany do strzału. W takim przypadku cały sprzęt musieliśmy nieść sami.

Czyli żołnierze często nie tylko wam nie pomagali, ale wręcz opóźniali wejście?

AB: Mało tego, domagali się jeszcze wody, której oczywiście nie brali dla siebie. I to niby byli tamtejsi komandosi, kompletnie nieprzygotowani do wypraw w góry. Oni swoją bazę mieli w dolinie i tam ćwiczyli. Natomiast w góry się raczej nie zapuszczali, bo tam działali peszmergowie (w tłumaczeniu z kurdyjskiego: patrzący śmierci w oczy), czyli bojownicy kurdyjscy, którzy nie oddali broni po zakończeniu działań wojennych i prowadzili walkę partyzancką o niepodległość Kurdystanu. Zresztą cała nasza grupa była ostrzelana 7-krotnie. Każdy z nas brał udział w jednej czy dwóch potyczkach. My z Antkiem też leżeliśmy za skałą i wiemy, jak to jest, gdy ktoś z kilkuset metrów strzela do ciebie i chce cię zabić. To było niesamowite doświadczenie, kiedy obcięte przez kule gałązki karłowatych dębów darbaru spadały tuż obok nas i świadomość, że któryś pocisk mógł wreszcie trafić w nas. Wiadomo, że w górach nie wszędzie są skały, za

którymi można się skryć. Kiedy zaczynała się strzelanina, czasem trzeba było się czołgać kilkadziesiąt metrów. Jedna z grup była ostrzeliwana w wadi, czyli suchym korycie rzeki. Tam nie było skał, więc zagrzebywali się w żwir. Uciekli tylko od auta, żeby ewentualny wybuch benzyny ich nie pozabijał. Myślę, że takie pomiary niewielu ludzi przeżyło.

Czy musieliście pokonywać również trasy wspinaczkowe?

AB: Przed wyjazdem do Iraku zwróciliśmy się do dr. Jerzego Hajdukiewicza, który był znanym alpinistą, znawcą gór i wypraw i choć urodził się we Lwowie, to od przedwojny mieszkał w Zakopanem. Doradził nam, co powinniśmy wziąć na taką wyprawę. Byliśmy więc wyposażeni w sprzęt górski firmy Salewa, który dyrekcja sprowadziła z Włoch i ze Szwajcarii na nasz wniosek. Wśród zamówionego sprzętu były: plecaki, liny, haki, karabinki, cały sprzęt alpinistyczny. Zanim jednak wszystkie formalności załatwiono i sprzęt dotarł do Bagdadu, minęło, niestety, kilka miesięcy. Na początku korzystaliśmy więc z własnego sprzętu i nie używaliśmy lin. Część tras miała charakter wspinaczkowy i chodzili tam nasi koledzy, którzy byli pra-

cownikami TOPR-u czy GOPR-u i mieli odpowiednie doświadczenie. Ale ja na przykład, mimo że jestem zakopiańczykiem, nigdy się nie wspinałem i na takie szczyty w Kurdystanie nie wchodziłem. Natomiast z górami się znałem, bo byłem instruktorem narciarskim.

Przed jakim największym wyzwaniem stanęliście tam zarówno w sensie zawodowym, jak i fizycznym?

AB: Najbardziej z tych kurdyjskich gór w pamięć zapadł mi „Giewont” w paśmie Koresz, który tak nazywaliśmy z uwagi na uderzające podobieństwo do naszego Giewontu. Kiedy zakładaliśmy na nim punkt stabilizacji górskiej, żaden z eskortujących nas żołnierzy nie doszedł na szczyt. A jak już sami założyliśmy ten punkt, wynosząc wszystko na własnych plecach, przy schodzeniu okazało się, że jeden z żołnierzy stracił przytomność prawdopodobnie z odwodnienia. I znosiliśmy go na dół na jego własnym karabinie, który wsunęliśmy mu pod pasek. Jeden z nas trzymał za kolbę, a drugi za lufę, trzeci podtrzymywał głowę tego żołnierza, a czwarty nogi. Pamiętam, że jeździliśmy z nim po piargach, ale donieśliśmy go całego na dół i zawieźliśmy do jednostki w Raniji (bo jego dowódca nieprzytomnego nie chciał przyjąć), gdzie go odratowano. Innym razem doskonały alpinista (zresztą również z doświadczeniem w Himalajach) inż. Zbigniew Jabłoński postanowił zmienić trasę wejścia na „Giewont”, ta jednak okazała się trudna. Do tego na ostatniej polanie żołnierze, którzy nie dotarli na sam wierzchołek, zaczęli strzelaninę z Kurdami. Żartowaliśmy potem, że „jak Jabłoński mierzył na Giewoncie, to się oganiał od kul”. Mało tego, żołnierze, wracając ze szczytu, zamiast iść już wydeptaną w trawach ścieżką, rozpięchli się wokół niej i kilku zginęło na minach. Dlatego „Giewont” mocno nam się wbił w pamięć. W ogóle parokrotnie zdarzyło się, że wojskowi rozminowywali nam wierzchołki.

LK: Mieliśmy wówczas po 30-40 lat, byliśmy więc w kwiecie wieku, a do tego mieliśmy żelazną kondycję. Nie było dla nas żadnym problemem codzienne wyjście w góry, najpierw dojazd samochodem, potem wędrownia i powrót o 12 w nocy i znów pobudka o 4 rano. Do tego każdy szedł z plecakiem o wadze od 15 do nawet 30 kg. Pamiętam, jak pewnego



Punkt triangulacyjny na zaminowanym wierzchołku. Tu rolę min spełniały granaty połączone drutami. Na innych polach minowych często były tzw. plastik logom, czyli niewykrywalne miny plastikowe. Na zdjęciu Kazimierz Korzeniowski i Andrzej Gąsienica Józkowy wraz z żołnierzami wojskowej obstawy



Przyjemny punkt geodezyjny w dolinie, gdzie można było dotrzeć samochodem, ale za to stabilizacja była pełna – ciężkimi znakami betonowymi; odwiedzały nas ciekawskie kozy miejscowych pasterzy

razu przyjechała dyrekcja, posiedzieliśmy do jakiejś 2-3 nad ranem przy herbatce i poszliśmy spać. Następnego dnia dyrekcja wstaje około południa i pyta: „A gdzie reszta?”. Kolega, który był kucharzem w bazie, mówi, że jak zwykle wstali o 4 i pojechali w góry. Dyrektorzy na to: „To chyba nie ludzie”. W tym czasie na kontrakcie były jeszcze 3 brygady mniej więcej 20-osobowe, które pracowały na pustyni. I oni nazywali nas „wariatami”, bo żaden z nich za żadne pieniądze nie podjąłby się naszej pracy.

AB: Trudny był również rejon Hannara, położony na południowy wschód od Kirkuku, dojeżdżało się tam do ostatniego miasteczka Sangau. To była zupełna dziura, krajobraz księżycowy, miejscowi nie widzieli wcześniej samochodu, a po herbatę jechali konno ok. 30 km. Rejon ten nie był kontrolowany przez wojska irackie. Zakładaliśmy tam ze śp. szwagrem Włodkiem Sembereckim punkt stabilizacji pełnej i jakoś udało nam się stamtąd wrócić. Następnego dnia na ten świeżo założony przez nas punkt pojechał Antek z dwoma ratownikami z Grupy Krynickiej GPR: Ryszardem Gorszko i Władysławem Popardą. Tymczasem 7 innych zespołów poszło na szczyty odległe o kilkanaście do 30 km, żeby umieścić na nich 7 luster, bo trzeba było zmierzyć 7 boków z tego punktu. Na jednym z tych punktów byłem ze szwagrem i pamiętam jak dziś, że o 11.07 zamilkł głos z radiostacji na punkcie głównym, a zawsze były do niej dwa akumulatory (jeden zasilający, drugi zapasowy), więc było mało prawdopodobieństwo, że zawiodły oba. Jednocześnie zgłosił światło lasera. Akurat mierzyłem kąt pionowe do niwelacji trygonometrycznej i mówię do szwagra: „Peszmerygowie atakują”. Takie miałem przeczucie i tak się rzeczywiście stało. Porwali wtedy Antka z dwoma kolegami i lufami ka-

łasznikowów skłonili ich do tego, żeby odłączyli sprzęt od akumulatorów i załadowali wszystko do samochodu. Usiedli z tyłu i nakazali im jechać. Przejechali razem kilkanaście kilometrów, potem partyzanci wygnali ich z samochodu i ustawili pod ścianą wąwozu, a jeden do nich celował z karabinu. Nasi myśleli, że to koniec. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności peszmerygowie odstąpili od zastrzelenia ich. Zabrali im radiostację oraz 3 lornetki i odeszli kanionem w góry.

Mieliście mnóstwo szczęścia.

LK: Wieczorem tego samego dnia spotkaliśmy się wszyscy (8 zespołów) w jednym miejscu. Jednogłośnie ustaliliśmy, że należy dokończyć pomiary. Ten feralny punkt to było centrum ostatniej rozety w tym rejonie. Nazajutrz więc o świcie wszystkie zespoły ruszyły na te same co dzień wcześniej wierzchołki i dokończyliśmy przerwany porwaniem pomiar. Było mało prawdopodobne, żeby znowu w tym miejscu pojawili się kurdyjscy bojownicy. Tego zdarzenia nie można było jednak przemilczeć, bo radiostacje były na wyposażeniu wojskowym, a nie mieliśmy jak się z nich rozliczyć. Pojechałem więc złożyć meldunek do Bagdadu i dostałem naganę za narażanie życia pracowników. Na tydzień wysłano nas na pomiary na pustynię, a kiedy wróciłem, dostałem zwolnienie dyscyplinarne i musiałem wracać do kraju. Ale po przyjeździe do Warszawy anulowano mi zwolnienie i 22 lipca odbierałem ministerialną nagrodę II stopnia za pomiary w Iraku jako jedyny pracownik terenowy. Ponieważ w Kurdystanie zagrożenie było znaczne, dyrekcja uznała, że trzeba będzie zakończyć kontrakt na tym etapie. Ale wtedy Irakijczycy postawili sprawę twardo, że albo zrealizujemy cały kontrakt, albo wypłacą wynagrodzenie tylko za pomierzone punkty, a więc znacznie mniejsze.

AB: Po tym porwaniu kilka miesięcy spędziliśmy w kraju, aż kolega Konstanty został w końcu poproszony do Warszawy, żeby jednak podjął się ze swoim zespołem dokończenia pomiarów. Za te 23 mln dolarów, które Irak ostatecznie zapłacił, Polacy musieli się dobrze napracować i niejednokrotnie ryzykowali własne życie.

No i zostaliście za tę swoją pracę docenieni. Szczególnie po latach, kiedy Amerykanie potwierdzili dokładność waszych pomiarów.

AB: Rzeczywiście potwierdzili bardzo wysoką jakość i dokładność założonej przez nas siatki. Mówiło się wtedy, że Irak otrzymał od Polaków najdokładniejszą siatkę świata. Było to więc naprawdę duże wyróżnienie. Amerykanie to sprawdzili w 2008 r. poprzez pomiar na 32 punktach dostosowania. Po transformacji okazało się, że dokładność wyznaczenia każdego z tych punktów wynosi 1,8 cm dla obu składowych poziomych. Zresztą dostaliśmy też część roboty polegającej na poprawkach pomiarów na pustyni. Tam, gdzie wyniki innych ekip były mniej zadowalające, my jechaliśmy poprawiać. Pamiętam, jak zrobiliśmy sobie punkt orientacyjny z ogona samolotu, który został niegdyś zestrzelony na pustyni. Tam też nie brakowało przygód.

LK: Po tej przerwie we wrześniu 1978 r. zobowiązałem się wrócić z kolegami do Kurdystanu. Załatwianie formalności trwało od września aż do stycznia następnego roku. Wyrwali nam przez te wszystkie przeszkody 7 miesięcy najlepszego czasu na wykonywanie pomiarów.

Pewnie śnieg komplikował wam pracę.

LK: Jak przyjechalismy na drugą część kontraktu, na przełomie stycznia i lutego 1979 r., to śniegu na wysokich szczytach było ponad 2 metry, a do pomiaru zostały właśnie najwyższe – od 2000 do 3000 m n.p.m. I wtedy pierwszy i jedyny



Na punkcie triangulacyjnym ze szkicownikiem Michał Sitarz, „Antek” wykonuje pomiar teodolitem Wild T-2, w środku gościnnie szef Centrum Obliczeniowego z Bagdadu Ryszard Pażus. Obok na stanowisku Geodimetr Aga 8, z lewej radiostacja polowa

raz koledzy musieli zawrócić. To był najwyższy szczyt, na którym zakładaliśmy punkt: Pira Magrun koło Sulejmaniji.

AB: Było tam około 14 godzin samego podejścia plus pomiar i powrót, czyli prawie dwa dni bez snu. Śniegu posmakowaliśmy tam całkiem sporo, bo na dole było powiedzmy czterdzieści kilka stopni powyżej zera, a na górze było zero albo minus dwa. Bywało więc, że na górze w śniegu zapadaliśmy się po pas, a jednocześnie na dole był ogromny upał.

LK: Na tę końcówkę kontraktu (luty–maj 1979 r.) zostało nam około setki najwyższych szczytów przy granicy tureckiej i irańskiej. Tam są góry wysokie na ponad 3 tys. metrów. Najwyższy szczyt ma 3700 m n.p.m. A najwyższy szczyt, na którym założyliśmy punkt, miał ok. 2800 m n.p.m., czyli był wyższy od tatrzańskiego Gerlacha! Dostaliśmy wtedy porządnie w kość. Teraz to się fajnie wspomina, ale to była harówka.

AB: Najważniejsza była wielka przygoda i to, że się te setki szczytów zobaczyło, a nawet na setki z nich weszło. Skończyło się dobrze, nikt nie zginął, nawet nikt nie został zraniony. Chociaż jak my z kolegą Konstantym leżeliśmy za tą skałą, co kule obcinały gałęzie darbaru, to wiatr od wsi przyniósł jakąś niebieską szmatę i zahaczył o jeden z karłowatych dębów, co wyglądało trochę jak flagi. Walili więc w nas w kierunku tej „flagi”, bo myśleli, że tam jest dowódca.

LK: W górach odgłos ciężkiego karabinu maszynowego (CKM-u) jest przerażający, dudniący, wywołuje niesamowite

echo. Ale pamiętam, że jeden z kolegów, który był z nami pod koniec kontraktu zaledwie 1,5 miesiąca, mówił podczas powrotu do kraju, że nie przeżył dotąd tak wspaniałej wycieczki, za którą by mu jeszcze na dodatek płacili.

Jak odpoczywaliście? Zwiedzaliście jakieś zabytki?

AB: Niewiele. Dniami przeznaczonymi na wypoczynek były piątki, czyli ich niedziele. Robiliśmy wtedy albo pomiary z bliższych punktów, żeby móc wrócić o wcześniejszej godzinie do bazy, albo wykonywaliśmy w bazie szkice czy opisy do punktów. Czasami jechaliśmy gdzieś nad wodę, nad rzekę Khazir na przykład. Wtedy można było się wykąpać w ubraniu i tak w tym mokrym ubraniu wsiadaliśmy do samochodu, żeby dłużej trzymało wilgoć i chłód. I to był dla nas dobry wypoczynek. Oczywiście trochę też zwiedziliśmy, zdarzało się, że jakieś zabytki były u podnóża góry, na której akurat mieliśmy zakładać punkt.

Jak byli do was nastawieni miejscowi?

LK: Miejscowa ludność kurdyjska była nam bardzo przyjazna. Jak szliśmy bez wojska, wszystko było w porządku. W zasadzie za każdym razem zapraszali nas na herbatkę, a nawet na posiłek. Jak szliśmy z wojskiem, powstawał problem.

AB: Dla nas to było bardzo nieprzyjemne, bo wojsko irackie zachowywało się jak okupanci. Zdarzało się, że demolowało Kurdów ogrodzenia, zabierało naczynia z jedzeniem. Woleliśmy więc również z tego powodu uciec swojej wojkowej obstawie. I choć to było wbrew

warunkom zapisanym w kontrakcie, praca bez wojska była w zasadzie jedyną możliwością, żeby go zrealizować. Mówiąc obrazowo, gdybyśmy zawsze szli z wojskiem, doszlibyśmy do Doliny Strążyńskiej zamiast na Giewont czy na Czerwone Wierchy (śmiech).

LK: Tym bardziej że teren – jak się okazało – znaliśmy lepiej od nich.

AB: Ale oni też niezbyt chętnie z nami szli. Celowo zmieniali się dowódcy, żeby nie jechać z nami. Taka eskorta nazywała się himaja. Zdarzało się, że himaja była umówiona, a jak przyjeżdżaliśmy, żeby iść wspólnie, to okazywało się, że dowódca się zmienił, a nowy już o niczym nie wie. Mnóstwo było takich drobnych sytuacji, które realizację kontraktu stawały pod znakiem zapytania. A jednak go zakończyliśmy i ta najdokładniejsza siatka świata powstała i istnieje do dziś.

Jak powstawała kronika tej wyprawy i skąd tytuł „W cieniu orłów”?

AB: Na podstawie moich listów wysyłanych z Iraku do żony. Każde wydarzenie starałem się opisywać na bieżąco, najczęściej w nocy, po powrocie z wyprawy w góry. Na razie jest w formie cyfrowej, ale mam nadzieję, że wkrótce uda się ją wydać na papierze. A dlaczego taki tytuł? W Kurdystanie przez wiele miesięcy można nie zobaczyć chmury na niebie. Natomiast w powietrzu, zwłaszcza nad górami, unoszą się orły i to po kilka sztuk. Podczas naszych wędrówek czasem jedynie cienie orłów padały na spaloną słońcem ziemię.

Rozmawiała Anna Wardziak

Zdjęcia ze zbiorów Andrzeja Biernacka